

Jedinak Michal

Sen o powrocie

Z „Fahrenheit”

O AUTORZE



Michal Jedinák - Już 27 rok nosi to imię. Lubi recesje (recesia - to po słowacku "jaja" powiedziane bardzo intelektualnie), dlatego odbył służbę wojskową. Nieregularnie zajmuje się pisaniem krótkich tekstów i poezji.

Uwielbia: czytać, kino, dobrą muzykę, kiełbaski i tworzenie tych beznadziejnie nieoryginalnych biogramów. Woli noc, która jest dla niego ciekawsza od dnia. Jego genialnych marzeń mogą mu wszyscy pozazdrościć, niestety nie zamierza ich ujawniać.

Poniższe opowiadanie zdobyło nagrodę w konkursie Fantazii na opowiadanie o Marsie.

Fantazia to pierwsze, i w tej chwili jedyne słowackie czasopismo science-fiction i fantasy. Wychodzi już siódmy rok i jest stale coraz to bardziej popularne. Otrzymało kilka nagród Czechosłowackiej Akademii Science Fiction, Fantasy i Hororu. W tym roku było wyróżnione Europejską Nagrodą ESFS jako najlepsze europejskie czasopismo. Jeśli ktoś rozumie słowacki, może zaglądnąć na jego często aktualizowaną stronę:

www.fantazia.sk

Ten tekst był napisany z zamysłem stworzenia czegoś w rodzaju epilogu "Kronik Marsjańskich" Raya Bradbury'ego, które kilkakrotnie czytałem, i które uważam za jedno z najlepszych i emocjonalnie najsilniejszych dzieł światowej literatury. Od strony technicznej i faktograficznej, to opowiadanie jest bardzo nieściśle, ale taki jest i Mars w dziele Bradbury'ego: to niemal metafora, przez którą autor bada reakcje i zachowanie się ludzi zarówno podczas kontaktu z innymi istotami, jak również w stosunku do samych siebie. Zdaję sobie sprawę, że niemożliwym jest doskonale odwzorowanie poetycznego stylu tego mistrza opowiadań, ale ufam, że udało mi się do niego przybliżyć choćby odrobinę, i oddać w ten sposób hołd Bradbury'emu, ludziom i Marsjanom.

Wiatr przeganiał się nad powierzchnią planety. Z lekka zbierał ziarenka marsjańskiego piasku, by garściami rzucać je w ruiny byłych ludzkich siedzib. Igrał w ten sposób z pustynią już od wieków. Przesypywał ją z miejsca na miejsce, budował ogromne piaskowe diuny, by ostatecznie je rozsytać i układać w niekończących się wariacjach i kształtach, które utkwily mu w pamięci. Raz wyrysował w pustyni twarz Marsjanina, kiedy indziej postać ludzkiego dziecięcia lub startującą raketę. Była to samotna zabawa: bez widzów, bez oklasków.

Na brzegu wodnego kanału zmagął się ze źdźbłem trawy osobliwy gatunek małego chrabąszcza. Wracał do domu. Obły pancerz na jego grzbiecie, w promieniach porannego słońca, błyszczał

wszystkimi kolorami tęczy. Jego drobne, szczotkowe nóżki niezdarnie pełżyły w prochu pozostawiając w nim dziwny ślad, przypominający wiadomość napisaną w nieznanym języku.

Podmuchy wiatru i cichutkie skrobanie małych nóżek były jedynymi dźwiękami burzącymi panującą dokoła ciszę. Planeta milczała. Niemal odczuwalne było, jak rotuje wokół swej własnej osi.

Gdzieś w podziemiach miasta odezwało się trzaśnięcie a następnie ciche buczenie. Starodawny mechanizm ruszył. Podłoga domu, z którego zostały już tylko dwie na wpół rozbite ściany bez okien, otworzyła się i na światło dzienne wysunęły się dwie skrzynie dziwnego kształtu. Ich przezroczyste wieka otworzyły się, puszczając przy tym wokół świetlne zajączki. Dwie ludzkie postacie powoli zaczęły się budzić z hibernacyjnego snu.

Catherine. To była pierwsza myśl mężczyzny. *Catherine. Co znaczy to słowo? I kim ja jestem?* Wspomnienia wynurzały się z odmętów pamięci leniwie, stopniowo odkrywając twarz dawniej miłości. Roztargnione szukały swojego miejsca w pamięci. Chwilę trwało, zanim się otrząsnęły z grubej warstwy prochu zapomnienia, osiadłego na nich przez całe te lata, ale wreszcie trafiły do łańcucha myśli i mężczyzna sobie przypomniał.

Bernard. *Tak, nazywam się Bernard. A Catherine jest moją żoną.* Usiadł, nogi opuścił na ziemię. Podeszwy butów lekko zagłębiły się w marsjańskim piasku, zostawiając w nim pierwsze ślady ludzkich stóp po bardzo długiej dobie. Otworzył oczy, ale silne, bolesne promienie słońca zmusiły go do natychmiastowego ich zamknięcia. Osłonił je więc dłonią i przez wąskie szpary między palcami ostrożnie spojrzął w kierunku drugiego hibernacyjnego sarkofagu.

- Catherine - westchnął.

Była o wiele piękniejsza niż obraz w jego wyblakłych już wspomnieniach. Oczy, okolone długimi rzęsami, miała zamknięte, ręce skrzyżowane na piersi. Wyglądała jak Śnieżka w szklanej trumnie: blada i nieruchoma. Bernard przeraził się. Co jeśli jest martwa?

Przykląkł przy niej i pogładził po policzku. Jej usta nieznacznie poruszyły się do uśmiechu, jakby śniło się jej coś przyjemnego. Żyje i powoli się budzi. Serce znowu zaczęło mu bić.

Wstał i rozejrzał się wokół. Wszędzie, gdzie tylko mógł dojrzeć, rozpościerały się jedynie ruiny i piasek. Ten piasek nie miał jednak żółtego koloru, jak na Ziemi. *Oczywiście, przecież jesteśmy na Marsie*, podpowiedziało mu jedno ze wspomnień. Lecieli na Marsa i wylądowali tu wraz z pozostałymi uciekinierami. Miał to być dla nich nowy dom, nowa nadzieja po tym, jak Ziemia umierała w ostatnim konflikcie zbrojeniowym. Rozpoczęli budowę wszystkiego od nowa. Na Marsa przyleciała ich niecała setka i więcej niż połowa to były dzieci. Ich największa nadzieja.

Bernard się zachmurzył. On i Catherine nie mieli dzieci - nie mogli ich mieć. Nie byli bowiem ludźmi, ale sztucznymi istotami. Marionetki, roboty, każdy nazywa to inaczej, stworzone jako doskonałe kopie dwojga prawdziwych ludzi, którzy zostali na dole, tam na Ziemi. I właśnie dlatego ci, którzy znaleźli schronienie na Marsie, nienawidzili ich. Wyglądali jak ludzie, ale na prawdę byli tylko kopiami, żywymi fotografiami tych, którzy w rzeczywistości są martwi. Przy każdej okazji dawano im odczuć, że między nich nie pasują. Dlatego z Catherine zdecydowali się na hibernację. Chcieli przespać kilka ludzkich generacji, a potem, kiedy krucha nić życia na Marsie zgrubnie, a ludzie zaczną zapominać o swoich ziemskich korzeniach, może zapomną i o nich. Nie będzie już więcej im przeszkadzać, że nie są ludźmi; przynajmniej taką nadzieję miał Bernard.

No, a teraz, kiedy się ostatecznie przebudzili, wygląda na to, że w okolicy nie ma żadnych ludzi.

- Bernard?

Jego imię zabrzmiało bardziej jak pytanie, niż stwierdzenie. Przez chwilę czuł strach, że Catherine nie przypomni sobie kim jest.

- Ach, Bernardzie! - wykrzyknęła, a wiatr doniósł mu jej dźwięczny śmiech. - Jestem taka szczęśliwa, że znowu jesteśmy razem!

Podszedł do niej.

- Zawsze byliśmy razem, głuptasku.

- Ja wiem, ale nie naprawdę. Spaliśmy tak długo, że zaczęłam się bać, że się już nigdy nie obudzimy i nie dotkniemy jeden drugiego.

- Jak mogłaś się bać, skoro spałaś?

- Tak, w snach.

Zaśmiała się, a słońce obejmując jej gładką, białą twarz, zmuszało ją do mrużenia oczu, które przybrały filuterny kształt wąskich szparek.

- W snach? - niedowierzająco pokręcił głową. - My nie śnimy, nie jesteśmy ludźmi. Poza tym, hibernacyjny stan jest bezsenny nawet dla nich.

- A jednak, miałam przez cały ten czas sny. Widziałam Ziemię, jak znowu rozkwita. Rzeki się oczyściły, niebo wypełniło nieskończoną ilością odcieni błękitu, po zielonych łąkach biegały dzieci i śmiały się. Ludzie żyli w pokoju i byli tam, i... - na chwilę zamilkła, jakby sama nie mogła w to uwierzyć. - byli tam i Marsjanie. Żywi. Rozmawiali z ludźmi jak z własnymi braćmi, nikt nikogo nie chciał mordować.



Bernard urzeczony słuchał jej słów. W duchu widział, jak chwilę przed przebudzeniem uśmiechała się, i nie mógł jej nie wierzyć.

- Ty nie miałaś żadnych snów, Bernardzie?

- Moim jedynym snem jesteś ty, Catherine. Nie wiem, co bym bez ciebie począł.

Objął ją w pasie, uniósł i zakręcił się, jak to robią ojcowie z małymi dziećmi. Pięknie się śmiała, a jej czarne włosy łaskotały go po twarzy. Najchętniej zatrzymałby tę chwilę na zawsze.

- Puść, bo mnie zmiądzysz - powiedziała z wyrzutem po chwili. Usłuchał, a ona stanęła na palcach i dała mu buziaka. Patrzyli sobie chwilę w oczy, po czym Catherine wyrwała się z jego objęć i odtańczyła między ruiny na ulicę.

- Złap swój sen - krzyknęła.

Ruszył za nią. Był ciekawy, co stało się z miastem, w podziemiach którego spali.

Czekała na niego kilka budynków dalej. Z jej twarzy zniknęła cała radość. Jej smukła postać teraz wyglądała na starą i przygarbioną. Spojrzała na niego.

- Powiedz, że nie zostaliśmy tutaj sami. Że tylko się przed nami chowają, a kiedy ich odnajdziemy, przyjmą nas do siebie.

Catherine zawsze była jak dziecko. Spontaniczna, lubiąca się bawić, wolna i naiwna. Nie potrafiła skrywać swoich uczuć - kiedy było jej smutno, płakała, gdy była szczęśliwa, musiał się z nią cieszyć cały świat. Za to ją kochał. Ale co miał odpowiedzieć?

- Nie wiem. - objął ją, a kiedy się do niego przytuliła, poczuł, że jej serce bije szybko, jak serduszek wystraszonego zwierzątka. - Naprawdę nie wiem, ale obiecuję ci, że to sprawdzimy. Znajdziemy wszystkich, którzy jeszcze tutaj zostali.

Razem wkroczyli pomiędzy ruiny.

Nie znaleźli nikogo. Miasto umarło i jedynym żywym obywatelem pozostał tutaj wiatr. Brodzili w piasku, który pokrywał niegdysiejsze ulice, pokonywali resztki murów. Z budynków zostały już tylko szkielety bez okien, drzwi i dachów. Z wyposażenia wewnątrz nie zostało niemal nic, tylko jakieś nieforemne, ciężkie do zidentyfikowania kształty nadgryzione czasem. Ostatnim pierwiastkiem przypominającym życie był kanał, ale nawet niemal nieruchoma tafla wody sprawiała wrażenie opuszczenia.

W okolicy kanału nad podziw dobrze darzyło się marsjańskiej roślinności. Wiele domów zamieniło się w botaniczne ogrody pełne cudownych roślin, jakich nigdy wcześniej nie widzieli. Niektóre pełzły po ziemi i przeszkadzały im w poruszaniu się, inne wspinały się po murach i swoimi wielkimi kwiatami obserwowały drogę słońca po marsjańskim nieboskłonie. Ich grube, zielone liście szeptały jakąś prastarą, smutną pieśń. Gdyby Bernard z Catherine potrafili ją zrozumieć, może dowiedzieliby się, gdzie się podziali ludzie. Ciężko uwierzyć, że mogliby wyginać, jak niegdyś, dawno przed nimi Marsjanie.

Może przenieśli się gdzieś w poszukiwaniu lepszych warunków, albo ukrywają się w podziemiach, zastanawiał się Bernard. Ostatnią nadzieję stracił w chwili, kiedy marsjański wiatr na ich oczach rozwiął piaskowe wzniesienie i odkrył czaszkę z nieregularnymi dziurami w miejscu oczu. Catherine wykrzyknęła i przytuliła twarz do piersi Bernarda. Bernard statecznie gładził ją po ramieniu, w tej chwili jednak sam potrzebował czyjejś łaskawej, uspakajającej ręki.

Co krok odkrywali kolejne piaskowe groby. Sen o nowej cywilizacji rozpułnął się niczym obłoczek wodnej pary nad pustynią. Nie ma już żadnych ludzi - nie w tym mieście. Bernard nie wierzył, żeby pozostali w jakimkolwiek innym.

Catherine milczała. Przez jej twarz przebiegały błyszczące ścieżki po łzach, których nie potrafiło wysuszyć nawet silne marsjańskie słońce. Usadowili się w cieniu jakiejś niszy na brzegu kanału. Woda była czysta, mogli ją pić. Była przyjemnie chłodna i smakowała jak rozkwitnięta łąka, jak miód leśnych pszczół, jak symfonia. A najbardziej z wszystkiego, jak dom.

- Jesteśmy tu sami - szeptała Catherine. - Zupełnie sami. Na zawsze i nieodwracalnie. Cóż będziemy robić?

- Nie jesteśmy sami. - odpowiedział Bernard. - Jesteśmy tutaj razem. A póki mamy siebie, będziemy szczęśliwi.

- Naprawdę?

- Obiecuję, że nigdy cię nie opuszczę.

- Ani na chwileczkę?

- Nigdy.

To była pierwsza po wielu latach noc na Marsie. Tulili się do siebie i obserwowali gwiazdy. Większość gwiazdozbiorów niemal się nie zmieniła, wyglądały prawie dokładnie tak, jak za dawnych lat, dzięki temu nie czuli się aż tak zagubieni.

W nocy wiatr przestał wiać. Albo znalazł sobie plac zabaw w innej części planety, albo także ułożył się do snu. Marsjańska noc była nadzwyczaj cicha. Żadnego cykania cykad, żadnego hukania sowy. I jeszcze ta woda, nieruchoma niczym tafła szkła. Mogli czuć bicie swych serc, oddech, a nawet myśli.

- Bernardzie! - krzyknęła Catherine. Szybko usiadła i wskazała palcem w niebo. - To Ziemia! Właśnie wschodzi Ziemia!

Bernard podniósł się i wyostrzył wzrok w kierunku, który wskazywała. W nieskończonej, ciemnej otchłani pojawiła się planeta, która mogła być Ziemią. Jednak już sama myśl o niej pogłębiała uczucie smutku i osamotnienia. Na twarzy Catherine pojawił się jednak uśmiech.

- Bernardzie, widzisz to światło?

Żadnego światła na taką odległość nie mogła widzieć, ale on nie miał prawa niszczyć jej iluzji. Nie po tym wszystkim. Jeśli widziała światło, od teraz było ono tam i dla niego.

- Jakie światło? - spytał, uważając, by nie zabrzmiało to zbyt niepewnie.

- Tam, tam przecież, na Ziemi! - Teraz już krzyczała w uniesieniu. - Oni powrócili! Nie są martwi, tylko wrócili na Ziemię!

- Myślę, że coś widzę - skłamał.

- Widzisz, nie jesteśmy sami. Polecimy tam, dobrze?

Nie polecimy, pomyślał sobie. Wszystkie rakiety zniszczyliśmy po lądowaniu na Marsie. Właśnie dlatego, żebyśmy nie mogli nigdy więcej tam wrócić. Ale może udałoby mi się jedną zbudować ze szczątków? Nie, nie udałoby się. Nawet gdyby, to po co? Tylko byśmy się okłamywali i przedłużali cierpienie.

- Polecimy.

Włożył w to słowo całe swoje przekonanie.

Catherine spała na jego ramieniu. Obserwował, jak spokojnie oddycha, a jego męczyły myśli o najbliższej przyszłości. Ręka mu ścierpła, utracił w niej czucie, ale nie wyciągnąłby jej spod głowy Catherine za nic na świecie.

Rano obudziło go jej radosne ćwierkanie. Aż go bolało, kiedy widział jej rozpromienioną twarz. Pocałowała go w czoło, nos i usta, poczym złapała za rękę i zmusiła do podniesienia się.

- Poczekaj chwilę - bronił się, gdy bezlitośnie ciągnęła go za sobą. - Muszę się trochę obmyć, obudzić.

- Na co czekać? Musimy znaleźć rakietę!

- Catherine. - Przyciągnął ją do siebie, zmusił, by podniosła głowę. Spojrzał jej prosto w oczy. Wyczytał w nich strach i prośbę, by nie kończył. Ale on musiał. - Zniszczyliśmy rakietę, Catherine. Proszę cię, pogódź się z tym, tak będzie nam łatwiej.

- Nie! - Wyrwała się z jego objęć. - Wszystkie na pewno nie. Przecież oni odlecieli, musimy szukać! - Ruszyła biegiem przez miasto. Piętami wyrzucała w powietrze obłoki piasku, a wiatr, który obudził się w międzyczasie, bawił się jej sukienką i włosami.

Musimy szukać, odezwało się echo w głowie Bernarda. Więc szukali.

Catherine była zawsze o kilkadziesiąt metrów przed nim. Promieniowała energią, w nieprzerwanym tańcu zaglądała w każdą dziurę, jakby mogła tam być ukryta rakietą. Bernard kroczył za nią powolny i zamyślony. Chciał coś zrobić, ale w tej sytuacji był zupełnie bezradny. Błądził wzrokiem po okolicy, ufając, że znajdzie coś, co mu podpowie co dalej. Jakąkolwiek wiadomość, napis, drogowskaz - cokolwiek niezwykłego. Ale widział tylko ulice zasypane piaskiem i ruiny ginące w dżungli marsjańskiej flory.



W pewnym momencie potknął się o coś twardego. Kolejny z mnóstwa piaskowych grobów. Jednak z piasku oprócz kości wystawało coś jeszcze. Pochylił się i ostrożnie to wygrzebał. Zamarł w bezruchu. W ręce trzymał rękojeść broni palnej. Szybko obejrzał się za siebie. Catherine była na szczęście daleko z przodu i patrzyła w innym kierunku. Za uchem miała wielki czerwony kwiat i tańczyła.

Odłożył broń na miejsce i zasypał ją piaskiem. Kiedy wstawał, jego wzrok padł na jakiś znajomy obrys. Ręką odgarnął ze ściany pnącza jakiejś rośliny i zobaczył obrazek wyryty w niej prawdopodobnie kamieniem. Trzy małe i dwie duże postacie, które uśmiechnięte trzymały się za ręce. Były wyryte prymitywną dziecięcą kreską. Pod nimi przeczytał niemal już zatarte napisy: *Timothy, Michael, Robert, tatuś i mamusia*. Dotknął ręką obrazu, ten pod ciężarem wieków rozpadł się. Kawałek dalej znalazł kolejny, który swoją tematyką tworzył przerażający kontrprzykład do pierwszego obrazka: widniała na nim mała chmurka z krzyżykiem, a napis nad nią oznajmiał, że Robert umarł.

Z szeroko otwartymi oczami przechodził koło kolejnych ścian. Na niektórych odnalazł podobne obrazki, rysowane prostą kreską. Większość ukazywała małe i duże postacie z karabinami oraz leżące, nieruchome ciała, tańczące płomienie i zachmurzone twarze. Te ściany wyglądały jak dziennik apokalipsy, świadectwo wojny i cierpienia. Teraz już wiedział, co się stało z ludźmi. Nie odlecieli na Ziemię. Zostali na Marsie i pozabijali się wzajemnie, podobnie jak kiedyś wymordowali ostatnich Marsjan.

Catherine nie może się o tym dowiedzieć. Był przekonany, że po tym na jej twarzy już nigdy nie zagościłby uśmiech.

Zacisnął pięść i uderzył w ścianę. I znowu. Dopóki nie rozpadła się w proch. A potem kolejna i kolejna. Na jego rękach pojawiła się krew. W ranach osiadał piasek, szczypał, jakby chciał mu przeszkodzić w niszczeniu bezcennego dzieła sztuki. Ale to nie mogło go powstrzymać.

A potem natrafił na obrazek ludzkiej postaci z oddzielonymi rękami, nogami i głową, wyrysowaną nad kilkoma szlaczkami o kształcie serpentyny. Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. I strzałka wskazująca kierunek, w którym właśnie poruszała się Catherine.

Obrócił się, chcąc krzyknąć za nią, ale jego głos zanikł w ogłuszającym huku. Nieludzka siła, niczym piórko, wyniosła drobną dziewczęcą postać w górę. Wydawało się, jakby jeszcze w powietrzu Catherine próbowała dokończyć ostatni piruet swojego wesołego tańca. Płatki kwiatu za jej uchem chwiały się na wietrze.

Czas się zatrzymał. Catherine wisząc w powietrzu, patrzyła w kierunku Bernarda. Na jej ustach stale widniał uśmiech, ale w oczach pojawiło się zaskoczenie.

Widok zakrył mu wzburzony tuman piachu.

Nie widział nic, oczy miał pełne piasku. Nie zważał na to. Ruszył biegiem. Odbijał się od ścian, które rozsypywały się w proch. Krzyczał jej imię, ale Catherine nie odpowiadała. Znalazł ją. Ciągłe jeszcze jej nie widział, ale wyczuł ją. Rękoma obmacał drobne ciało. Palce zanurzyły się w czymś ciepłym i wilgotnym. Ręce, nogi i głowa były na swoim miejscu, ale w środku brzucha została tylko dziura. Bernard przestał krzyczeć. Nastąpiła cisza. Nawet wiatr przestał wiać.

Odniósł ją daleko za miasto. Nie chciał pogrzebać jej pośród ludzi. Kopał długo, jakby to nie miał być grób na jedno ciało, ale na cały świat. Cały wszechświat. Szło mu to ciężko, bo oprócz kawałka blachy, który wygrzebał z piasku, nie miał żadnych narzędzi. Ironia losu, kopał kawałkiem rakiety, które budowano z mocniejszego, twardszego materiału niż wszystko inne.

Odezwał się stłumiony dźwięk, to blacha natrafiła na coś. Czaszka. Już, zniesmaczony, miał wyjść z jamy i zacząć kopać w innym miejscu, kiedy uświadomił sobie, że czaszka, mimo iż bardzo podobna do ludzkiej, ludzką nie jest. Przez ciało przebiegł mu dziwny dreszcz: mieszanka zaskoczenia i poświętnego szacunku.

- Marsjanin. - Przez suche gardło wydarło się westchnienie. - Prawdziwy Marsjanin.

Teraz leżały przed nim dwa ciała. Obydwa podobne do ludzkich, ale żadne z nich do świata ludzi nie należało. Były podobne do siebie chyba tylko z daleka, jedno jednak miały wspólne - na sumieniu mieli je ludzie. Długo się nie zastanawiał. Swoją żonę ułożył obok Marsjanina, a na grobie umocował dwa improwizowane krzyże z kawałków rakiety.

Siedział na brzegu kanału i obserwował małego lśniącego chrabąszcza, który niezmiernie walczył ze źdźbłem marsjańskiej trawy. Życie, na przekór wszystkiemu, toczy się dalej, pomyślał. Zawsze ktoś się uratuje.

Kto wie, co z was będzie za milion lat? - odezwał się do chrabąszcza. - Może nowa rasa, Marsjanin, czy człowiek. A może kiedyś narodzi się między wami kolejna Catherine? Taka, jak ta moja. Mógłbym wrócić do hibernacyjnego snu i poczekać na nią. Zobaczyć, jaka będzie przyszłość.

Ale nie zrobił tego. Zamiast tego obserwował niebo.

Nastąpiła druga noc na Marsie. Było cicho i bezwietrznie. Nad horyzontem pojawiła się Ziemia. Bernardowi wydało się, że tam, w nieskończonej odległości, ujrzał światło. Mnóstwo drobnych światełek.

Może jednak komuś udało się powrócić, pomyślał sobie.

Tłumaczył ze słowackiego: A.Mason

Koniec